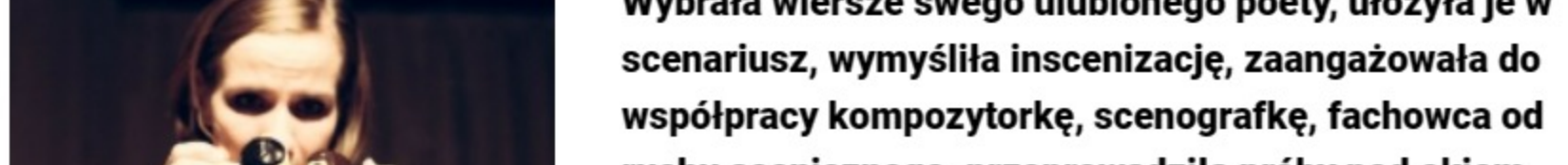


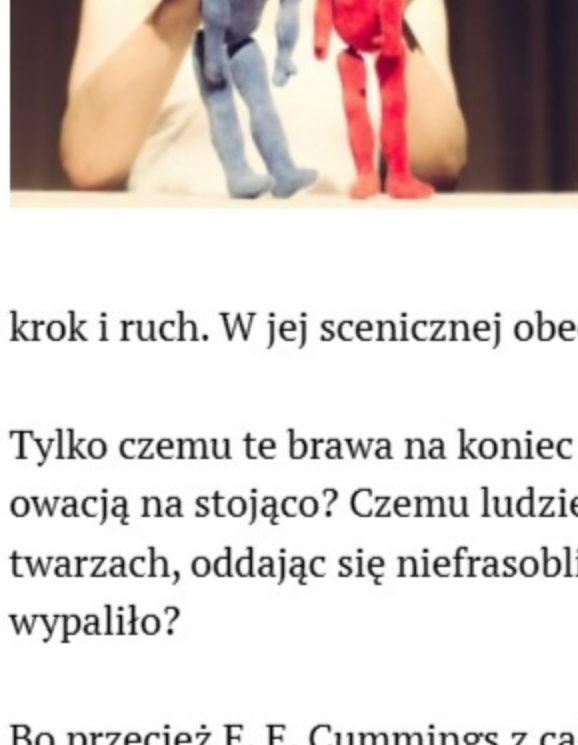
Gdyby nie...

Poruszenie, opieka reż. Wiesław Łągiewka, Teatr Lalek „Pleciuga” w Szczecinie

**JULIUSZ TYŚZKA**

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany, Teatrológ.

A A



Aktorka przygotowała śpiewany monodram-recital. Wybrała wiersze swego ulubionego poety, ułożyła je w scenariusz, wymyśliła inscenizację, zaangażowała do współpracy kompozytorkę, scenografkę, fachowca od ruchu scenicznego, przeprowadziła próby pod okiem sprawującego opiekę reżyserską nad jej przedsięwzięciem ojca – aktora, śpiewaka.

I przez godzinę w kwadransie pozostaje sam na sam z widownią na małej scenie Teatru „Pleciuga”, zachowując pełną koncentrację, śpiewając, animując lalki i przedmioty, precyzyjnie odmierzając każdy ton, każdy krok i ruch. W jej scenicznym obecności odczuwamy...

Tylko czemu to brawa na koniec są takie mdłe? Czemu ten wielki wysiłek nie jest nagrodzony owacją na stojąco? Czemu ludzie wychodzą z teatralnej sali ot tak, bez śladu wzruszenia na twarzach, oddając się niefrasobliwie przelotnym pogaduszkom? Co tu nie wyszło? Co nie wypadło?

Bo przecież E. E. Cummings z całą pewnością wielkim poetą był, a Marta Łągiewka jest doświadczoną artystką sceny, której bez obaw można było powierzyć samodzielne, trudne zadanie inscenizacji recitalu-monodramu opartego na wierszach amerykańskiego poety.

Jakże niewdzięczne jest powołanie krytyka! Bo przecież nie sposób nie docenić wielkiego wysiłku aktorki oraz niewątpliwie artystycznej klasy jej przedsięwzięcia (no nieba by jej przychylił za to ambitne usiłowanie!), a zarazem (ach, jakże trudne to, jakże ciężkie!) nie wolno mi pominąć kilku błędów, które – moim zdaniem – sprawiły, że widzowie (w tym wyżej podpisany) tak jakoś letnio i mało frasobliwie owo przedsięwzięcie odebrali.

Cóż, nie ma zmiłu się. Krytyku! Do krytykanckiego dzieła naprzód marsz!

Primo: wątpliwa wydaje mi się podstawowa decyzja, by sceniczna prezentacja poezji Cummingsa przybrała formę muzyczną. Zawiłe momentami meandry myśli poety, ubrane w kunsztowną, pełną niedopowiedzeń językową formę, są niełatwe do uchwycenia nawet w recytacji, a cóż dopiero w ramach muzycznej frazy. A to właśnie wiersze, ich treść, ich emocjonalny impet, ich intelektualna głękość i egzystencjalna powaga miały być, jak mniemam i jak można wyczuć z programu, podstawową wartością przekazywaną ze sceny w czasie spotkania artystki z widzami. Dodajmy, że wybór Marty Łągiewki był jasny i prosty: treść wszystkich tekstów Cummingsa włączonych do jej scenariusza krążyła wokół miłości, która – wedle przekonania samego poety – potrzebna jest nam „do pełnego zrozumienia zagadki świata i miejsca człowieka w tym świecie...”. Bowiem właśnie miłość „łączy niedoskonały świat zjawisk z postulowanym światem idealnym” (cytat ze szkicu Jerzego Janiewicza zamieszczonego w programie spektaklu).

I co? I najlepiej moim zdaniem wybrzmiał, najżywiej został odebrany *Przytul no się powiedziała* – wiersz najprostszy i najbanalniejszy, lecz zarazem kryjący w sobie bardzo konkretną międzyludzką sytuację, oparty na dialogu, najbardziej „dramaturgiczny” i teatralny z umieszczonych w scenariuszu tekstów.

Wnioski: 1) poezja poezją, ale na scenie najważniejsze jest międzyludzkie spotkanie; 2) nie zawsze da się wyspiewać to, co można po prostu powiedzieć.

Secundo: kontynuując „utyskiwania muzyczne”, stwierdzić muszę, iż wsparcie śpiewu artystki bogatym instrumentalnym akompaniamentem granym z playbacku ani nie ułatwiło mi głębszego wnikięcia w treść odśpiewywanej poezji, ani nie pomogło w intymniejszym, bardziej osobistym kontakcie ze scenicznym wcieleniem Marty Łągiewki. Akompaniament ów skazał ją automatycznie na mikroport, co zapośredniczyło jej więź z widzem – kontaktowaliśmy się z jej głosem (i z tekstami Cummingsa) poprzez wzmacniacze i głośniki.

Dziwnym pomysłem wydało mi się w tym kontekście umieszczenie po prawej stronie widowni grającej na żywo wiolonczelistki. Łagodne tony wydobywane z jej instrumentu przebijają się z wielkim trudem przez głośnikowy akompaniament (w którym kilkakrotnie zabrzmiał dźwięk... wiolonczeli), a dwa razy żywy instrument przegrał ze wzmacniaczem – nie było go w ogóle słychać, choć byłem odeń oddalony zaledwie o jakieś cztery metry.

Wniosek: bogaciej nie zawsze znaczy lepiej.

Tertio (kontynuując wątek bogactwa środków): inscenizacja, choć skromna, też nie sprzyjała pełnemu wybrzmieniu tekstów poety oraz intymnemu, odpowiadającemu charakterowi jego wierszy, porozumieniu widzów z postacią wykreowaną przez Martę Łągiewkę. Aktorka miała bowiem do dyspozycji bardzo jak na poetycki monodram obszerną przestrzeń małej sceny, ograniczoną z trzech stron białymi kotarami. Intymności spotkania widzów z aktorką nie sprzyjały też ułożone w równy wzorek biało-czarne kafelki na podłodze. Poczucie emocjonalnego zimna wzmacniała w dodatku biała suknia i takiegoż koloru pantofle aktorki, nasuwające nieodparte skojarzenie z baletkami, a w ślad za tym – z bezosobową wykintnością klasycznego tańca.

Pozostałe elementy dekoracji to szpitalnobiałe, prostopadłościennie formy, ustawione po przekątnej scenicznego prostokąta i zwieńczone wyrastającymi z ich boków szklanymi ścianami, nasuwającymi skojarzenia ze zbiorem akwariów lub muzealnych gablot. Nad każdą z tych konstrukcji wisiała pozbawiona osłon żarówka, zaopatrzona w sznurek-wyłącznik. Aktorka ceremonialnie zapalała poszczególne żarówki przed odegraniem kilku minisencenek za pomocą znajdujących się w akwariach przedmiotów, po czym je gasiła. W finale przedstawienia, gdy ostatnie przedmioty-lalki zostały już złożone w swojej „gablotce” po prawej stronie, Marta Łągiewka rozkołysała wszystkie trzy żarówki, pozbawiając wykreowany przez siebie świat panującej w nim stabilności, przesyconej niewyciężoną dotąd, dominującą nad wszystkim bielą. A mowa była wtedy nie tylko o miłości, ale i o śmierci, która w końcu wdarła się bezceremonialnie w białosć sceny. Ostre światło żarówek zwisających nad poszczególnymi „gablotkami”-scenkami przywiodło mi tym razem na myśl szczególnie, wyróżniony fragment szpitala – salę operacyjną, gdzie kroi się ciała i skąd czasem niestety ulatuje duch. Nie zdziwiłem się więc, gdy chwilę potem na scenie zapanował mrok sygnalizujący koniec przedstawienia. Lalki spoczywały już nie, jak u Kochanowskiego, w „mieszku”, lecz w przydzielonych sobie „akwariach”, żarówki nadal kołysały się, ale już nie świeciły – tak oto spektakl żywota ludzkiego i przedstawienie w kameralnej salce „Pleciugi” osiągnęły swój kres.

Twórczyni spektaklu trzeba oddać, że wielokrotnie, pomimo wszystkich przeszkadzających jej elementów, które sama do siebie nieopatrznie dodała (na siebie na scenę zesłała), udało się jej nadać swym niespiesznym, ceremonialnym poczynaniom wymiar jakiegoś prywatego rytuału. Zapalanie i gaszenie żarówek, przechodzenie od jednej „gabloty” do drugiej, znikanie za kotarą, „oswajanie się” z animowanymi przedmiotami, przykłęknięcie za „akwariami”, gdy umieszczala swoje sceniczne zabawki z powrotem na miejscu – wszystko to pogłębiało emocjonalną treść jej porozumienia z widzami. I nawet młode dziewczęc z pierwszego rzędu, które co chwila otwarcie, bez zenady po cichu chichotało w kolnierz swojego chłopaka, reagując tak właśnie, po gówniarSKU, na rozmaite rytualno-ceremonialne zabiegi scenicznego sprawczyni, na koniec, gdy rozkołysały się żarówki, wyłączyło swój chichotek i z powagą zamilkło.

(No tak, krytyku, udało ci się jednak przekazać na rzecz twórczyni spektaklu odpowiednią ilość uwag niewątpliwie pochwalnych, pora wrócić do „krytykologicznej” narracji.)

Otóż wewnątrz przywoływanych tu wielokrotnie „gablot-akwariów” spoczywały (też już kilkakrotnie wspomniane) przedmioty, które sceniczna sprawczyni animowała, dopełniając tymi działaniami swą poetycko-piosenkową narrację. W pierwszym szklanym zbiorniku bez wody, znajdującym się z przodu sceny po lewej stronie, spoczywały dwie szmaciane figurki: czerwona (kobieta) i niebieska (mężczyzna); w drugim – dwie rękawiczki: zielona i liliowa. Aktorka, po odegraniu pierwszej miłosnej historii za pomocą figurek, ceremonialnie przeszła do drugiej szklanej gabloty, wyjęła z niej z namaszczeniem rękawiczki, włożyła je na swe ręce, po czym na jedną z nich nadziała główkę kobiecą, na drugą – męską. Przyszła pora na kolejne zapoznanie się, rozkwit uczucia, jego uwiad, rozstanie...

Najoryginalniejsze z lalkarsko-animacyjnego (i widzowskiego) punktu widzenia były formy z trzeciej „gablotki” – tej, która położona była najdalej od widowni, po prawej stronie sceny. Każda z dwóch ludzkich figurek składała się tu mianowicie z pięciu owalnych, różnokolorowych form połączonych nitkami. Efekt: złożone z kończyn i głów postacie kobiety i mężczyzny.

Dodam (tym razem z leciutkim niesmakiem), że punktem kulminacyjnym każdej z rozegranych za pomocą lalek etiud miłosnych była obowiązkowa „całuska obłapka”, tak jakby nijak inaczej nie można było miłosnych uniesień lalkarsko uaoacnić. Ach, gdzież są przesycone magiczną, rozedrganą od emocji subtelnością „prehistoryczne” już czasy Studenckiego Teatru Ręk „Co To” z Gdańska (znane mi niestety jedynie z kilku krótkich minisencenek włączonych w filmie Janusza Morgensterna *Do widzenia, do jutra*)?

Co widziałem, to opisałem – najrzetelniej jak umiałem. Czy opisane i oceniane tu przedsięwzięcie udane jest, czy nieudane? Cóż, wszystko zależy od efektu, jaki chce się osiągnąć. Jeżeli twórczyni spektaklu zależała na intymnym porozumieniu z widzami za czułym, wrażliwym pośrednictwem poezji Cummingsa, to całe powyższe bogactwo środków oraz takie, a nie inne ich zestawienie w dziele tym przeszkadzało.

Wniosek trzeci i generalny: bogato nie zawsze znaczy odpowiednio.

O tym, że ubogo to też pięknie, a czasem nawet piękniej, świadczy realizacja bardzo udanego pomysłu, by spektakl rozpocząć i zakończyć wysłuchaniem przez widzów w trakcie wchodzenia do i wychodzenia z sali recytacji wierszy Cummingsa w wykonaniu samego poety (sądząc z brzmienia głosu, mocno już zmęczonego życiem i przez powyższe doświadczonego). Gdyby ten uzyskany na początku nastroj „uosobowienia” poezji utrzymać przez cały spektakl, gdyby nie zagłuszać go śpiewem, playbackiem, natarczywą bielą, wygłancowanymi kafelkami podłogi, quasi-baletkami, szklanymi gablotami, obściskującymi się lalkami...

Najpiękniejszy w moim odbiorze moment: aktorka leży na podłodze (szkoda, że tak zimno-białe, ale trudno) i śpiewa wiersz przy delikatnym akompaniamentem wiolonczeli (tej na żywo, z boku, nie z głośnika). I komu to przeszkadzało?

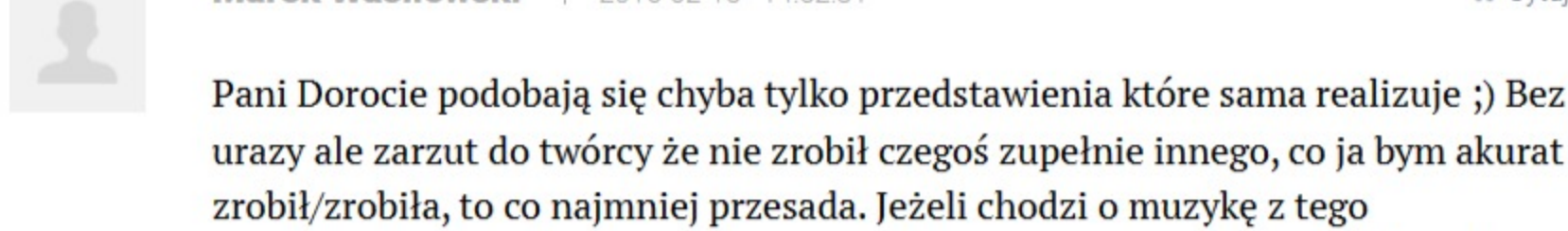
Anglosascy nauczyciele często opatrują eseje swych uczniów uwagą *good try* – dobre usiłowanie, dobra próba, zaznaczając wysoką jakość uczniowskiego pisania, a jednocześnie dając do zrozumienia, że mogło być ono lepsze. Bo jest tylko „usiłowaniem”, a nie dokonaniem. Jednak nad tą próbą samodzielną próbą Marty Łągiewki warto się z uwagą pochylić, bo znamionuje ona duży artystyczny potencjał, tyle że – jak to w debiucie – pogubiony w istotnych szczegółach, w których tkwi wiadomo co (a raczej kto).

Zatem: *good try* już jest, teraz pora na *good* (a potem *great*) *achievements*.

12-02-2016

GALERIA ZDJĘĆ

PORUSZENIE, OPIEKA REŻ. WIESŁAW ŁĄGIEWKA, TEATR LALEK PLECIUGA W SZCZECINIE

ZOBACZ WIĘCEJ →

Teatr Lalek „Pleciuga” w Szczecinie
Poruszenie
na podstawie wierszy E.E. Cummingsa
tłumaczenie: Stanisław Barańczak, Artur Międzyrzecki
wybór wierszy, scenariusz i inscenizacja: Marta Łągiewka
opieka reżyserska: Wiesław Łągiewka
scenografia, projekt lalek i kostiumu: Natalia Szostak
muzyka: Elżbieta Sokółowska
wiolonczela: Natalia Wesołowska
ruch sceniczny: Arkadiusz Buszko
obsada: Marta Łągiewka
premiery: 11.12.2015

TAGI: [Marta Łągiewka](#), [E.E. Cummings](#), [Szczecin](#), [Teatr Lalek „Pleciuga”](#) [Udostępnij](#)

SKOMENTUJ

Autor lub [zaloguj się](#)

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jedyn raz osiem jako licZbę:



KOMENTARZE (3)

Marek Wasilewski | 2016-02-15 14:52:31 # Cytuj

Pani Dorocie podobają się chyba tylko przedstawienia które sama realizuje ;) Bez urazy dla zarobu to twórcy że nie zrobił czegoś zupełnie innego, co ja bym akurat zrobił/zrobiła, to co najmniej przesada. Jeżeli chodzi o muzykę z tego przedstawienia, to bardzo zaskoczony opinią recenzenta, na szczęście drugi komentarz pana Szymona jest już bardziej zbieżny z moim odbiorem warstwy muzycznej tego przedsięwzięcia. Mnie ten spektakl nastroił raczej introwertycznie(zasługa w tym także ciemności na koniec i głosu Cummingsa w teżej) w dość przyjemny sposób, ale nie łudzę się że wszyscy widzowie przeżywać go intelektualnie czy emocjonalnie na tyle mocno, że tylko dlatego nie ma po zakończeniu owacji i gwizdów zachwyty. Myślę że to trudny spektakl, nie dla każdego ani nawet dla większości. Na szczęście trudny dzięki swojej wyjątkowości i jestem zachwycony, czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Oczywiście nie jest to dzieło doskonałe ;), są szczegóły które widziałbym inaczej, ale na szczęście nie jestem recenzentem i nie chcę oraz nie muszę się o nich rozpisywać. Ja osobiście polecam

Szymon Krzyżak | 2016-02-15 10:40:05 # Cytuj

Po przeczytaniu recenzji i komentarza, mam wrażenie, że oglądaliśmy różne spektakle. Jako muzyk, byłem pod wrażeniem oryginalności i pewnej eteryczności oprawy muzycznej. Pod względem instrumentalnym, akompaniament był raczej ascetyczny (wprawdzie uważam, że ten spektakl lepiej obronili się w sali o lepszej akustyce), natomiast z pewnością o śpiewie p.Marty dąbałyśmy. Biała scenografia też, jak dla mnie, podkreślała delikatność spektaklu, ale w tej materii jestem już laikiem. Podsumowując, takwidziałem tak oryginalnego, muzycznego spektaklu. Oby powstawało takich więcej.

Dorota Jankowska | 2016-02-13 14:15:12 # Cytuj

Nie mogę się z Panem nie zgodzić. Podczas oglądania spektaklu miałam nieodparte wrażenie, że intymność zawsze obecna w wierszach Cummingsa została gwałtownie z nich wydarta. Dopiero w tym nadmiarze, hulaśliwym śpiewie i wtłaczanej mi usilnie wzruszającej muzyce, gdzie wszystko balansowało na granicy kiczu, nagle chciałam zobaczyć coś zupełnie innego. Ciemne pomieszczenie, którego centrum stanowi krzesło albo po prostu jeden z trzech pulpitów. I żeby była recytacja. I szeptanie do tego krzesła. I tatr rąk. Dotykanie. Bo moment, w którym Pani Marta wzięła piękny przedmiot w dłonie – rękawiczki był dla mnie takim właśnie pięknym przeżywkim. W jednym z wierszy ("Jestem wiecznym żebrakiem...") Cummings mówi w przepiękny sposób o końcu relacji -"pójdź sobie tuptuptup". To tuptuptup jest tak niesamowicie proste, i czułe, że bezpretensjonalnie, że za każdym razem, kiedy je słyszę, prawie płaczę. I zdaje się, że "Poruszenie" właśnie "tuptuptup" gdzieś zgubiło i o nim zapomniało.